Nr. 682. Lwów — 1895 r. Wydawnictwa Rok XVIII.

GONIEC i ISKRA

(Dziennik dla wszystkich).

Czasopismo illustrowane.

Numer pojedyńczy **20** ct. w. a.

„Wesoły Kurjerek“ dla nieprenumeratorów 10 ct. w. a. — Osobne dodatki dla nieprenumeratorów 10 ct. w. a.

Goniec i Iskra wychodzi: 8. i 23. każdego miesiąca. Wszyscy prenumeratorowie **Gońca i Iskry** otrzymują zupełnie *bezpłatnie* drugie osobne pismo humorystyczne *illustrowane* p. t. **Wesoły Kurjerek**, wychodzące dwa razy na miesiąc: 1. i 15., oraz osobne powieściowe **Dodatki.** Prenumerata na **Gońca i Iskrę** wraz z osobnym **Wesołym Kurjerkiem** i **dodatkami** wynosi, tak w miejscu, jak i na prowincji kwartalnie 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. **Wesoły Kurjerek** dla nieprenumeratorów „Gońca i Iskry“ kosztuje **10 ct. w. a.**; tak samo *dodatki.* W Poznańskiem i w Niemczech 16 marek rocznie, we Francji i innych krajach, oraz w Ameryce półrocznie 20 f nk. (4 dol.): rocznie w Ameryce połudn,. w Brazylji, Australji i innych częściach świata 25 franków — stosunkowo na kwartał i pół roku. Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Nadesłane po 20 ct. od wiersza. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodniej przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych, albo pieniężnych: **Do Administracji Gońca i Iskry we Lwowie, ul. Kraszewskiego l. 23.** Z Ameryki najdogodniej przesełać prenumeratę dolarami papierowymi *w listach rekomendowanych,* lub także przekazem pocztowym. — Listy powinny być frankowane. — Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego prenumeratora.

Właściciel i naczelny redaktor: M. D. Chamski.



Małpy podpatrzyły ludzi i zagrały sobie w szachy...

Od Wydawnictwa.

Przy rozpoczęciu nowego roku, prosimy o rychłe odesłanie bieżącej i zaległej prenumeraty, gdyż wszelkie zaległości, są dla wydawnictwa zbyt uciążliwe. Zwracamy, przytem, uwagę, że **premię** *rozsełać będziemy tym tylko abonentom, którzy ureguluj rachunki prenumeracyjne. — Prenumeratę najdogodniej przesełać przekazami pocztowymi pod adresem:*

Administracja „Gońca i Iskry"
we LWOWIE.
ulica Kraszewskiego l. 23.

KRONIKA
prostego człowieka
o krzywych ludziach.

II.

Zawrzało, buchnęło i zgasło... Taka była awantura z *Gazetą Narodową* z powodu, że tam ktoś, powiedział coś o wystawie naszej... Oczywiście, nie będę kładł palca między drzwi, ani też myślę kruszyć kopji za kogokolwiek, lub z powodu czegokolwiekbądź — pozwolę sobie tylko zrobić tę uwagę, że na wszystko jest sposób. Jak cię kto lekko trąci, a chcesz mu narobić ambarasu i wywołać zbiegowisko, to wrzeszcz w niebogłosy!.. Ludzie się zbiegają, każdy pyta: co się stało? co ci zrobiono? pokaleczyli go!... a to dopiero! na gładkiej drodze mordować człowieka!.. Tymczasem, nic się mu nie stało, tylko chodziło o to, aby zwrócić na siebie uwagę, wywołać pewne poruszenie i, ieśli się da, współczucie. Tak samo zrobiła *Gazeta Narodowa*. Zaczęła wrzeszczeć, bo chciała dać znać o sobie, że jest przecie, że żyje, wprawdzie oddawna nie za swoje pieniądze, ale żyje i chce prostować ścieżki publicznego żywota, chociaż sama chodzi po manowcach tak, że często do domu trafić nie może... Ale awantura z wystawą, zdaje się nie pomoże *Gazecie Narodowej*. O wystawie już dziś nikt u nas nic nie chce czytać i nikt nic nie chce wiedzieć, bo, co było, a nie jest, to się nie pisze w rejestr naszego codziennego życia... Tak, tedy, *Gazecie Narodowej* nic nie pozostaje, jak tylko dalsze uprawianie krajowej polityki ssącej... To też dowiadujemy się, że pewien współpracownik *Gazety Narodowej*, którego *Śmigus* oznaczył sobie jakiemiś pięcioma literami, zakłada specjalny kantor mamek. W kierunku stręczenia, ten pan ma już wyrobioną praktykę i reputację — o tem znowu mógłby coś *Zagłoba* powiedzieć... I w ogóle, o „zdolnościach" tego pana wśród najświeższej generacji lwowskich dziennikarzy krążą statystyczne daty... nie literackie... Cóż robić!.. Biedna ta nasza literatura!.. Kto chce, to na nią skacze... Teraz, jak kto niema co robić na świecie, jak nic nie umie, jak go życie pomiętosi i już za młodu pobrudzi, to zostaje dziennikarzem, albo aktorem. Kontyngens tych *sui generis* emigrantów z domów rodzicielskich, zwiększa się od tej chwili, gdy zaczęto utrzymywać, że dziennikarz nie jest literatem i, gdy tapicer, został najgłówniejszą siłą na scenie... Wprawdzie, i ten, co robi piękne drzwi i ten, co stołek, jest stolarzem, a najrozkoszniejsze meble na scenie, nie zrobią ze zdziczałego fatyganta, artysty — ale swoją drogą, literatura dziennikarska i scena cierpią, bo obkładane są balastem obcym, który, djabli wiedzą, po co żywić i utrzymywać muszą... Proszę się obejrzeć po naszych najbliższych stosunkach, po tym światku, po którym się co dzień kręcić musimy — ile można odciąć literackich i aktorskich brodawek, tak, że nawet by nikt nie poznał na drugi dzień, że coś tam styrczało... A jednak, sromotnie szpecą nas te brodawki i długo trzeba czekać zanim same odpadną — bo głupie i zła ma silniejszy instynkt zachowawczy od dobrego i szlachetnego. Jak to bo trudno np. wygubić pluskwy...

„Komedja konkursowa" Asnyka, którą w ostatnich dniach widzieliśmy na scenie lwowskiej, choć nie dziś napisana, jaskrawo oświeca ten nasz światek literacki dzisiejszy... A przecież taki Asnyk, to talent, to człowiek czysty o charakterze, jak granit — poeta, a więc miękki, a jednak, nie wytrzymał i musiał wyrżnąć verba veritatis...

Ostatnie lata dziwnych nam przyniosło ludzi na ten nasz tor publiczny — galicyjski. Cechuje ich pewnego rodzaju wszechstronność. Z równą zdolnością i łatwością zakładają oni pokoje do śniadań, jak i pisma perjodyczne... Nie można być pewnym w Galicji, że jaki redaktor nie zostanie restauratorem, a restaurator redaktorem. A co jest w tem uderzającego, to pewna filozofja życiowa, pewien demokratyzm, nie robiący sobie nic z tego, że wieczorem dawało się buty do czyszczenia, a rano trzeba samemu komuś wyczyszcić... Tacy ludzie nazywają się strawnymi inteligentami; jedzą oni wszystko, trawią wszystko, i lepiej im w życiu codziennem, szarem, bo innego zresztą, nie potrzebują, jak tym, co listek róży, złożony we dwoje dolega i, którym się zdaje, że człowiek, który jest zaledwie mędrszy od czternastu głupich, nic gdzieindziej nie znaczy — tylko jeszcze w Galicji... Ale, chyba już i tu otworzą się niedługo ludziom oczy... Co daj Boże!..

Od ręki.

Hołd dla księcia Adama Sapiehy.

W tych dniach wręczono księciu Adamowi Sapieże adres z podpisami przeszło dwakroć stotysięcy osób różnych stanowisk i zajęcia. Był to hołd złożony obywatelskim zasługom księcia, który, jako prezes powszechnej Wystawy we Lwowie zjednał sobie wdzięczność przez swoją szczerą pracę, poświęcenie i ofiarność. Dla złożenia tego hołdu przybyły deputacje z całego kraju. Uroczystość odbywała się w pałacu książąt Sapiehów, gdzie też sutem śniadaniem podejmowano licznych gości. Wygłaszano serdeczne i patrjotyczne toasty. Album adresowy olbrzymiej wielkości bogato oprawione, waży kilkanaście centnarów. Telegramów z różnych stron nadesłano mnóstwo.

— Ślub z przeszkodami...

Kilka tygodni temu w Zabrzu, na Górnym Ślązku, stanęła młoda para ze świadkami przed urzędem stanowym, aby wziąść cywilne błogosławieństwo na dalszą drogę wspólnego życia. Gdy urzędnik z całą powagą i głębokiem przeświadczeniem o ważności swego urzędowego stanowiska zaczął spisywać protokół, zapytał go się pan młody, ile też lat liczy sobie jego przyszła małżonka.

— 38 lat — odpowiedział sucho urzędnik.

Na takie „dictum" oświadczył pan młody, że ją za żonę wziąść nie może, „bo ona mu za stara".

Zawstydzona młoda panna nie tracąc chwili i fantazji, zaczęła niemiłosiernie na głowie, twarzy, plecach i t. d. narzeczonego, stwierdzać młodocianą siłę swej pięści.

Wywiązała się gorąca obopólna bójka, tak, że w przybytku prawa obalono piec żelazny z żarzącymi się węglami.

Pan urzędnik stanowy prócz swej urzędowej powagi odwołał się do fizycznej swej siły i bijącą się parę wyekspedjował za drzwi. Bójka na dworzu trwała jeszcze chwil kilka, potem wszystko ucichło.

Ale o dziwy! — nad wieczorem, lubo już panna młoda o kilka godzin starszą się stała — zgodził się pan młody z jej metryka urodzenia, zapomniał urazy i bóle, wrócił ze świadkami do urzędu stanowego i wziął dobrowolnie na siebie złote kajdany małżeńskich rozkoszy.

— Z Ameryki.

Wygadują niestworzone rzeczy na milionerów amerykańskich, podsuwając rozmaite skandaliczne legendy o początku ich bogactw. Ja tam przy tem nie byłem, więc o tem nie wiem, ale to wiem, że jeżeli nigdzie majątki tak szybko i tak łatwo nie wyrastają jak, w Unji północno-amerykańskiej, to nigdzie też bogacze tak hojnie nie sypią groszem na cele publiczne. Wiadomo, że Vanderbildt ofiarował 350,000 dolarów dla kliniki w „Columbia College"; obecnie pani Stone dała 8 milionów marek na szpital. Ale to wszystko nic: jacyś dwaj amerykanie ofiarowali po 2 miljony marek na nowe kolegium, z tem zastrzeżeniem, ażeby ich nazwiska pozostały nieznane. To jest ofiara prawdziwie chrześciańska, z wykluczeniem wszelkiego interesu i wszelkiej próżności. Czy nie kryje się w tem jakaś ekspiacja?...

— Praktyczna dekoracja w japońskiej armji.

Japończycy nietylko stworzyli doskonałą w europejskim pojęciu armję, ale wpadli na wyborny pomysł wynagradzania swoich dzielnych żołnierzy. Zamiast rozdawać im pewne tylko idealną wartość honorową posiadające oznaki, rozdają im — zegarki! Zegarki te, lubo nie wykwintne, są nader dokładne, gdyż pochodzą z fabryk genewskich, gdzie je rząd japoński tysiącami zamówił. Zegarek może być tak samo oznaką honorową, jak medal, a o ile od niego jest pożyteczniejszy! Czyż można sobie wystawić trafniejszy pomysł nagrody dla żołnierza, jak ofiarowanie mu przyrządu, ułatwiającego mu praktykowanie punktualności, tej jednej z najwyższych i najpożądańszych cnót w zawodzie wojskowym?..

ROMANS TENORA.

Powieść

MARIONA GRAWFORDA

przekład z angielskiego.

Ciąg dalszy

(Patrz Nr. 681.)

— Spróbuj — rzekł De Pretis — może ci się to uda. Jeżeli chcesz powtórzę ci tę arję.

— Na nic by się to nie przydało — odpowiedział smutnie Nino. — Głos mi się zerwał, bo zawiele śpiewałem — już dla mnie wszystko przepadło.

— Może odzyskasz go jeszcze — rzekł stary muzyk, wzruszony łzami, które widział w oczach chłopaka. — Spróbuj tylko, zaśpiewamy naprzód gammę.

To rzekłszy wziął sam pierwszą nutę i wytrzymał ją głosem przeciągle. Wtedy Nino, nie mogąc dłużej oprzeć się pokusie i zapomniawszy zupełnie, że już nie ma głosu, zawtórował słabszym, ale wyraźnym dźwiękiem swemu mistrzowi. Dalsze nuty gammy w tenże sam sposób powtórzył za nim kilkakrotnie głosem coraz silniejszym.

— Cóż ci się przywidziało, mój chłopcze? — zawołał De Pretis uradowany. — Toż ty wcale głosu nie straciłeś, tylko, on zmienił się, jak zwykle bywa w twoim wieku.

Ośmielony tą zachętą, Nino zaśpiewał jakąś pieśń kościelną, którą ze słyszenia zapamiętał, głosem tak pełnym i dźwięcznym, że najwyższem zdumieniem przejął starego muzyka, a nawet i mnie, muszę przyznać. Skończywszy, rzekł zmieszany własną śmiałością:

— Sam pan widzi, że teraz śpiewać nie mogę. Oddawna głosu mego nie próbowałem, a dziś widzę, że nic już nie wart

— Ja zaś mam przekonanie — odpo- De Pretis, opamiętawszy się ze zdziwienia — że głosowi twemu brak tylko wyrobienia. Podejmuję się udzielać ci nauki śpiewu i to zupełnie bezpłatnie, gdyż wiem, że praca moja nie będzie daremna.

— Jakto? - wykrzyknął Nino — pan miałbyś zostać moim nauczycielem? czy to podobna? I czy, w istocie, przydałyby się na co twoje trudy!

— Czyby się przydały? — podchwycił z żywością De Pretis, — ależ, ty masz głos znakomity, mój kochany chłopcze, głos taki, jakiego nie zdarzyło mi się dotąd słyszeć — dodał uniesiony uczuciem podziwu. — Jeżeli tylko zechcesz, staniesz się z czasem pierwszym tenorem w całym świecie; za jakie lat trzy możesz śpiewać w najpierwszych stolicach i pozyskać europejską sławę. Spuść się na mnie.

Napróżno usiłowałem mu dowieść, że podobne marzenia szkodę tylko przyniosą przyszłości chłopaka, że go, zresztą, nie dla ceny chcę kształcić, ale dla poważnej nauki; na nic się nie przydały moje rozsądne uwagi i stanęło, wreszcie, na tem, że Nino ma odtąd poświęcić się muzyce. Chodził też pilnie codzień do swego mistrza, w domu zaś gammy i ćwiczenia powtarzał bezustannie, a wieczorami nuty przepisywał, aby coś zarobić, powiadał bowiem, że nie mogąc spełnić mojej woli, co do wyboru zawodu, chce przynajmniej nie być mi dłużej ciężarem pod względem materjalnym. De Pretis nie podniecał w nim miłości własnej pochwałami, ale niemniej pewny był jego powodzenia w bliskiej przyszłości.

— Będzie z niego wielki artysta, kochany hrabio — mawiał nie raz do mnie, dając mi tytuł, nad który przekładałem miano profesora. — Posiada on, bowiem, głos potężny i prześliczny w połączeniu z prawdziwie anielską cierpliwością, więc stanie się sławnym na świat cały.

— Nie będzie w tem w każdym razie mojej winy — odpowiadałem mu — robiłem, co mogłem, aby do tego nie przyszło.

Widząc jak dziś wygląda Nino, nikt nie wyobraziłby w nim sobie obdartego i zawalanego dzieciaka, którego mi przed laty przyprowadzono w owym ohydnym pomiętym kapelusiku i z jedną tylko nogą obutą. Brzydki on jest i teraz, co prawda, ale ma szerokie ramiona i kształtne ruchy, a postawę dzielną, trochę żołnierską. Przytem dbały jest bardzo o swoje ubranie i znać w nim zawsze pewną cechę artyzmu, bez żadnej, wszakże, przesady w tym kierunku. Jedne tylko oczy zdobią twarz jego dziwnie pięknym wyrazem, zresztą, rysy ma nieregularne, szczęki zanadto ciężkie, a usta tak szerokie, jak otwór skrzynki pocztowej. Ale De Pretis twierdzi, że dla tego, właśnie, głos z nich tak dobrze wychodzi. Ja zaś mam przekonanie, że dla tego się wiedzie temu chłopakowi, że posiada szerokie szczęki Napoleona I-go. Takim ludziom zawsze los sprzyja, według dawnego przesądu. Widzę tego dowód na sobie, gdyż mam wązką twarz, z ostro zakończoną brodą, ale też chowam ją starannie pod zarostem i jedna tylko Marjanna wie o niej.

Nino najpoczciwszym jest chłopakiem i nie dalej, jak rok temu nic go jeszcze na świecie nieobchodziło, oprócz jego sztuki,, ale dzisiaj się zmieniło. Niemniej, jednak, nie sprzeniewierzy się on jej nigdy; jest i pozostanie na zawsze śpiewakiem, gdyż posiada gardło ze stali, w którem chrypka, ani na jeden dzień nie zagościła. A przytem porządny jest co się zowie: ani w kawiarni noga jego nie postanie, ani znajomości z nikim nie szuka, a długu nie zrobił nigdy, ani grosza.

— Miej nad nim baczność, panie hrabio — zwykła była mawiać do mnie Marjanna. — Jeżeli kiedy zakocha się w jakiej blondynce z błękitnemi oczami, to z pewnością zmarnieje. Ach, panie, wszakże i tamta jasne włosy miała i oczy, jak bławatki. A wiele to już lat będzie temu, panie hrabio? Wielkie zawsze ladaco z tej starej.

Otóż, chcę wam tu opowiedzieć, jeżeli macie trochę czasu mnie posłuchać, jak się na tym chłopaku spełniła przepowiednia Marjanny, i jak on, co przedtem roztargnionym wzrokiem spoglądał na piękne panie, przejeżdżające się po Monte Pincio, lub spożywające lody przy dźwiękach muzyki, na placu Colonna i był swoją sztuką wyłącznie zajęty, doszedł potrosze do tego, że się na dobre rozszalał dla jedwabistych splotów jasnowłosej dzieweczyny i dla niebieskich jej oczu. Dobrze, aby każdy prawdę o tem wiedział, gdyż złych języków daleko jest więcej w Rzymie, aniżeli dobrych głosów, i Nino bywa często brany w obroty, choć dosyć mu się pokazać na scenie, aby wszystkim ręce popuchły od klaskania.

Jest on już dzisiaj jakby synem dla mnie i prawie się pogodziłem ze stratą moich marzeń co do jego przyszłości. Sławniejszym będzie, jako tenor, niż byłby cenionym, jako uczony w dzisiejszych czasach, a ponieważ posiada niemałe wykształcenie po za zakresem swojej sztuki, nie brak mu także osobistej wartości. Bo cóż dzisiaj krew znaczy naprawdę? i cóż to może stanowić za różnicę dla ludzi, że tenor Nino Cartagna był synem wiejskiego parobka, a ja, Cornelio Grandi, jestem ostatnim potomkiem rodu tak starego, jak ród Collonów i równie świetnego? Czy dba dzisiaj ktokolwiek o te rzeczy? Sławy nie dobiję się już nigdy, gdyż o nią potrzeba się starać od młodości, a dla mnie już nie pora rozpoczynać życie na nowo. Trzeba mi przestać na tem, co mi los przeznaczył i Bogu za to dziękować, że mam na starość, jaki taki kawałek chleba i poczciwą kobietę, która pamięta o moim obiedzie, naprawia mi skarpetki i robi dla mnie dobrą wódkę z pomarańczowych skórek. Lepsze miał odemnie szczęście Nino. Dla niego przyszło wszystko w samą porę, a może też dopomogła mu i bodźca podała goretsza od mojej krew chłopska, silniej umiejąca kochać, zarówno, jak nienawidzieć, od naszej, wiekowemi kolejami wystudzonej i wyrodzonej krwi szlacheckiej. Bądź, co bądź, tęskno mi dziś za nim, bom go miał przez lat czternaście pod moim dachem, a teraz oto w świat poszedł i tylko mi na pamiątkę zostawił gitarę, która mi dawne czasy przypomina. Ale nie zawsze tak będzie i skoro on do mnie nie powraca, wybiorę się sam do niego. Zabiorę z sobą Marjannę z jej pończochą i z kotem i tam, w mojem ukochanem Serrete życia dokończę. Ale Marjanna pewnie wcześniej umrze, bo starsza jest odemnie, choć się do tego nie przyznaje.

II.

Nie tak dawno się to stało, przed rokiem zaledwie. *Sirocco* w tym dniu wiał po ulicach, napełniając powietrze ciężką dusznością i tumanami kurzu zasłaniając słońce, tak, że każdy czuł się martwym. Pomimo to, Nino potrafił z domu mnie wyciągnąć, pragnąc, abym z nim poszedł do De Pretisa dla wysłuchania opery, której się był świeżo wyuczył. Wziąłem tedy płaszcz na siebie i połą jego usta sobie zakryłem, gdyż było to *sirocco* zwane zimnem, przynoszące w swoich powiewach krople deszczu chłodnego, które spadając, dreszczem przejmowały, gdy znów po chwili nieznośne gorąco potem oblewało czoło. Niepodobna opisać wrażenia, jakie sprawia *sirocco* tego rodzaju na mieszkańcach Rzymu; są oni wtedy tak bezsilni, jak gdyby im kości ze stawów powychodziły, cudzoziemcy zaś daleko mniej są na ten wiatr wrażliwi w pierwszych czasach pobytu swego w naszym kraju.

Tak się czułem zmęczony, przyszedłszy do De Pretisa, że nawet nie mogłem słuchać tym razem z całą uwagą śpiewu Nina, jakkolwiek oceniałem znaczne jego w ostatnich czasach postępy. Głos chłopaka stawał się coraz rozleglejszy, czysty i dźwięczniejszy, czułem jednak, że w nim czegoś jeszcze brak i myślałem sobie w duchu, iż ten głos cudowny budzić będzie zawsze we mnie podziw, ale do serca mojego nigdy nie trafi. Teraz już Nino śpiewa całkiem inaczej.

Signor Ercole De Pretis zajmuje na Via Paola bardzo ładne mieszkanie, gdyż mu wcale dobrze idzie i może urządzić się wygodnie i przyzwoicie. Pokoje u niego, wprawdzie, niewielkie, ale przyjemne; w jednym którego większą część zajmuje fortepian, przyjmuje swoich uczniów; parę krzeseł włosieniem pokrytych i sofka dopełniają umeblowania. Ercole tyle ma prawie wymiaru w szerz, co i wzdłuż i wtedy tylko wyjmuje z ust cygaro, kiedy chce zażyć tabaki, ale nie przynosi to wcale szkody jego głosowi.

Była to niedziela, dobrze pamiętam, gdyż miał De Pretis śpiewać po południu w kościele Świętego Piotra i wybraliśmy się tam z nim razem po lekcji. Nino zachował był swoje zamiłowanie do muzyki kościelnej, jakkolwiek uważał zawód śpiewaka scenicznego za korzystniejszy dla siebie od posady członka chóru papieskiego, z płacą trzydziestu szkudów miesięcznie. Rozszedłszy się z muzykiem u wejścia kościoła, poszliśmy do kaplicy chóru, aby tam zaczekać na nieszpory.

Publiczność, zapełniająca kościół świętego Piotra w popołudnia dni świątecznych, składa się przeważnie z cudzoziemców, którzy przynoszą z sobą krzesełka składane i urządzają się, jak gdyby przychodzili na koncert. Spotyka się tam, jednakże, i przedstawicieli arystokracji rzymskiej, ocierających się o ludzi ze stanu ubogiego, oraz sporo kobiet wytwornej powierzchowności i po większej części pięknych; ale na każdej prawie twarzy, z wyjątkiem prostaczków, zamiast uczucia pobożności, widać tylko prostą ciekawość.

Gdyśmy tego wieczoru doczekali się rozpoczęcia śpiewów, posunęliśmy się obadwa dalej w głąb kaplicy dla lepszego ich słyszenia i wtedy znalazłem się oddzielony od mojego towarzysza przez jakiegoś mężczyznę wysokiego wzrostu, z ogromnemi siwymi wąsami, ostro sterczącymi na jego twarzy surowej, niby rożki ślimaka. Kiedy go przeprosiłem za mimowolne potrącenie w tłumie, skinął głową sztywno, odpowiadając mi kilkoma słowami, w których czuć było akcent niemiecki. Skoro signor Ercole przestał śpiewać, wszyscy prawie uklękli, dla otrzymania zbliżającego się błogosławieństwa, ale cudzoziemiec ów o wyniosłej postawie nie uczynił tego. Wówczas dopiero mogłem dostrzedz siedzącą za nim na niskiem krzesełku młodą osobę, której piękność tembardziej odrazu mnie uderzyła, że się całkiem różniła od urody kobiet naszego kraju Ubrana była całkiem czarno, a na ciemnem tle kościoła twarz jej, wykreślająca się jasno, czyniła ją podobną do widziadła anielskiego. Podziwiać teraz mogłem jej rysy regularne, śnieżną cerę i rozmarzone oczy błękitne, przy których słodyczy zastanawiał energiczny wyraz brwi, śmiało, jakby pędzlem zarysowanych wązką i ciemną smugą na białem czole. Światło, padające od ołtarza na jej włosy złotawe, zdawało się złocić je nadziemską aureolą, tak, że wpatrując się w nią, zdawało mi się, iż ona własnym blaskiem jaśnieje wśród otaczającej ją pomroki.

Kiedy, wreszcie, zdołałem oczy od niej oderwać, ujrzałem, że Nino klęczał w pobliżu, z zachwytem w nią wpatrzony. Nie zdaje mi się, aby go dostrzegła, gdyż nie patrzała w tę stronę. Co do mnie, zatrzymałem wzrok na nim z wielkiem zdziwieniem, gdyż wyrazu, jaki miały teraz oczy, nie widziałem dotych-

czas. Zdawało się, że w promieniu, jaki z nich wybiegał, całe jego serce ku niej się rwało. Po skończonem nabożeństwie, gdy już ludzie poczęli się zwracać ku drzwiom kościoła, ujrzałem cudzoziemca siwowłosego, podającego ramię owej młodej kobiecie i zabrali się oboje do wyjścia, ale doszedłszy do środka kościoła, zatrzymali się, chcąc przeczekać odpływ tłumu. Nino, który ich z oczu nie spuszczał, powiedział mi wtedy, że chce poszukać De Pretisa, aby wyjść z nim razem i pod tym pozorem, cofnąwszy się w ciemniejszą część kaplicy, nie przestawał śledzić wzrokiem pary cudzoziemskiej.

Stojąc tuż obok niego, mogłem dostrzedz na jego twarzy wyraz, którego nigdy jeszcze na niej nie bywało. Zdawał się, jakby zbudzony do nowego życia, a rysy jego rozjaśniał jakiś płomień wewnętrzny, czyniący go prawie pięknym. Pusto już zaczynało robić się w kościele i gaszono w nim światła, gdy ujrzeliśmy De Pretisa, który szukał nas wzrokiem. Ze zdziwieniem spostrzegłem go oddającego głęboki ukłon owym cudzoziemcom i wchodzącego z niemi w rozmowę. Dosłyszałem, że w niej chodziło o lekcję śpiewu, na którą nie przybył. Panna mówiła po włosku, jak rodowita rzymianka, ale stary niemiec z trudnością wymawiał oderwane wyrazy, które z twardym dźwiękiem z ust jego wychodziły.

— Kto oni są i zkąd może ich znać signor Ercole? — szepnął do mnie Nino, cały drżący ze wzruszenia.

— Zkądże ja to mogę wiedzieć? — odpowiedziałem mu krótko. — Jest to wyraźnie jakiś cudzoziemiec z córką, której De Pretis udziela lekcyj śpiewu.

— Ona jest, niezawodnie, włoszką — rzekł Nino — inaczej nie mogłaby tak znać naszej mowy.

Nic już na to nie odpowiedziałem, chcąc mu dać poznać moją obojętność. Sądziłem bowiem, że tę kobietę widywał już poprzednio i nie chciałem podniecać zajęcia, jakie w nim wzbudziła. Ale byłem co do tego w błędzie; spotkał ją teraz po raz pierwszy.

Skoro się zbliżyliśmy do muzyka po odejściu jego znajomych, Nino wziął go zaraz pod rękę i wychodząc z kościoła począł o nich wypytywać.

— Są to cudzoziemcy, których znam od pewnego czasu — odpowiedział De Pretis.

— Ale ona mówi po włosku, jak gdyby się w Rzymie rodziła — rzekł Nino.

— Bo też tak było zapewne. Ojciec jej, rodem z Prus, większą część życia tu spędził, wcześnie porzuciwszy wojskową służbę. Powodem tego było słabe zdrowie jego żony, potrzebującej stałego przebywania w cieplejszym klimacie.

— Jakże się nazywa ten niemiec? — spytał z żywością Nino. — Potrzebuję dowiedzieć się o tem.

— Na szczęście nosi on nazwisko, które mogę z łatwością wymówić — odpowiedział De Pretis. — Jest to graf von Lira. Graf zaś znaczy to samo co hrabia.

— Cóż to za prześliczne nazwisko! — zawołał z zachwytem Nino.

— Córka zaś ma na imię Jadwiga — mówił dalej maestro.

Nino zdawał się chwytać z zaciekawieniem każde jego słowo, a ja patrzyłem ze zdumieniem na tego chłopaka, który po raz pierwszy dopiero w życiu uczuwał miłość na widok kobiety, choć miał lat dwadzieścia i urodził się pod włoskiem niebem.

Wszystkie szczegóły owej godziny pamiętam dokładnie, gdyż od niej rozpoczęło się szaleństwo mego wychowańca. Zdziwiła mnie jego obojętność, gdy następnie signor Ercole począł się rozwodzić nad zamożnością hrabiego Lira. Otóż, według mnie powinien on był najbardziej ucieszyć się wiadomością, że hrabianka Jadwiga jest bogatą dziedziczką, ale to nie zdawało się wcale go obchodzić i szedł dalej, nucąc wyjątek z jakiejś opery, własnemi myślami tylko zaprzątnięty.

— Musi to być wielki pan, co się zowie — mówił Ercole. — Zajmuje całe pierwsze piętro pałacu Carmandola na Corso i trzyma powóz ze służbą w liberji, jak rzymski książę. Mam u niego wielkie łaski; przysłał mi nawet butelkę wina na święta Bożego Narodzenia. Było ono lekkie, jak woda, a smakiem przypominało siarczane źródła w Tivoli, ale pochodziło z jego własnej winnicy i liczyło już lat kilkadziesiąt wieku. Musi ten hrabia Lira mieć znaczne posiadłości w Niemczech, ale swoją drogą wino wyrabia niegodziwe.

Gdy to mówił, dochodziliśmy, właśnie, do jego mieszkania. Wtedy odezwał się Nino, milczący od pewnego czasu i rzekł do niego:

— Wszak prawda, panie, że jutro wypada nasza lekcja?

— Co się z tobą dzieje, mój chłopcze? — odpowiedział muzyk — czyż zapomniałeś, żem dziś pracował z tobą przez dwie godziny?

— A, prawda!.. Ale pozwól, abym także miał lekcję jutro, a przyrzekam ci, że będę śpiewał, jak anioł.

— Niech i tak będzie, poświęcę ci całą godzinę, ale pod warunkiem, że przyjdziesz o siódmej zrana i śpiewać będziesz same solfeggia Bordogniego.

— Uczynię, co mi tylko rozkażesz, kochany mistrzu — odpowiedział skwapliwie chłopak — bylebym tylko mógł przyjść do ciebie,

Rozstaliśmy się przy tych słowach z muzykiem i zwróciliśmy się ku domowi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ciekawe rzeczy.

Życie Europy. W „Economiste Européen“ ukazała się przed kilku tygodniami nader ciekawa praca młodego uczonego francuskiego, Edmunda Tery, który wziął sobie za zadanie wyjaśnić, przy pomocy danych statystycznych, rezultaty życia europejskiego w ciągu ostatniego dziesięciolecia (1883 — 1893) w porównaniu z poprzednim dziesiątkiem lat. Oto kilka cyfr wyciągniętych przez autora z danych źródeł urzędowych, ogłoszonych przez 25 państw europejskich bijących własną monetę. W ostaniem dziesięcioleciu ludność Europy wzrosła tylko o 10·03 prc., gdy wydatki na cele publiczne wzrosły o 22·5 prc. Wydatki na wojskowe cele zwiększyły się o 23·5 prc., a liczba osób, pociągniętych do powinności wojskowej w r. 1894, jest o 60 prc. większą, niżeli w 1883 r. W tymże samym czasie długi Europy doszły poważnej kwoty 28 miliardów franków t. j. w porównaniu z ostatnim rokiem poprzedniego dziesięciolecia podniosły się o 31·7 prc. Majątki ruchome Europy zwiększyły się w tymże czasie o 40 miliardów franków, zarówno w skutek podniesienia wartości papierów państwowych. Kasy różnych banków europejskich zyskały 2.478 milionów franków amerykańskiego złota, ale za to srebro tak spadło w cenie, iż 6, lub 7 miliardów fr. monety srebrnej, będącej w Europie w biegu, straciło wartości 2.300 mil. fran.; handel zewnętrzny europejski poniósł z tego powodu straty w przybliżeniu około 1.036 milionów fr. Zaszły również w ciągu ostatniego dziesięciolecia pewne zmiany w obliczeniu powierzchni Europy. Teraz liczy ona 9,731.000 kr. kilom. Różnicę tę tłumaczą dokładniejszymi pomiarami dokonanymi w ostatnich czasach. Najmniejszem z państw europejskich jest księstwo Monaco (21 kil.), następnie rzeczpospolita Saint Marino (59 kw. kil.), księstwo Lichtenstein (159 kw. kil.), rzeczpospolita Andora (452 kw. kil.). Ludność Europy podniosła się z 330,000.000 w 1883 r. do 364,000.000 w r. 1893 r., t. j. o 34 miliony, czyli o 10.3 prc., z czego wynika, iż zwrastała co rocznie o 13 prc. Gęstość zaludnienia także nieco się zwiększyła, a mianowicie z 34 mieszkańców na kilometr. kw. do 36. Najsłabszy przyrost ludności okazał się we Francji, gdyż tylko 1.78 w ciągu dziesięciolecia. Pomimo to ludność Francji wynosi 10·50 prc. całej ludności Europy, gdyż ludność Rossji zaledwie dochodzi 19 prc. Jeśli, jednak, przyrost ludności i zwiększenie jej gęstości nie są zbyt znaczne, to za to w dziedzinie komunikacyj widocznym jest ogromny postęp. Długość sieci telegraficznej w Europie podniosła się z 478.068 kil. do 660.238. t. j. przez lat dziesięć o 182, kil., czyli o 38 prc. Długość linij telegraficznych w Rossji wynosi 126.917 kilom. w Niemczech 123.285, Francji 103.781. Anglji 53.338 i Austrji 52,463. Ilość kolei żelaznych także się podniosła: w roku 1883 na milion mieszkańców Europy wypadało 1,448 kilometrów kolei, a w roku 1893 liczba ta wzrosła do 1.813.

Siodła z aluminium. W ostatnich czasach rozpowszechniający się coraz bardziej metal aluminium, znalazł zastosowanie przy wyrobie siodeł, które odznaczają się lekkością i trwałością. Siodła z alaminium zaprowadzono już we francuskim pułku spahisów sudańskich. Tej samej formy i ceny co zwykłe siodło, waży od niego o trzy kilogramy mniej.

Próby z wydrążonemi kulami. W Północnych Stanach Ameryki armja uzbrojona jest w magazynowe gwintówki systemu Krog-Jorgensona. Niedawno dokonano całego szeregu prób, w celu przekonania się, jakie kule są dla tej broni najodpowiedniejsze. Próbowano kul najrozmaitszybh typów, używanych w armjach europejskich, a nadto kul wydrążonych systemu Heblera-Krinka. Zwykłe kule traciły część swej siły w skutek oporu powietrza i tworzącej się za niemi próżni. Kula Heblera nie przedstawia tych braków, ponieważ część powietrza przechodzi przez kanał, na wskroś przez nią wydrążony. Rząd Stanów Zjednoczonych postanowił wprowadzić w użycie te kule, które wyrabiają tam z hartowanej stali. Pośrodku kuli mieści się mosiężna obwódka, która wrzyna się w nacięcia gwintu, zaś wzdłuż przebiega kanał cylindrowy.

Ludzie na planetach.

Lotem błyskawicy rozbiegła się po świecie wiadomość, iż Flammarion, znany astronom-popularyzator francuski, wraz z kilku innymi astronomami stwierdził ostatecznie i nieodwołalnie, że plamy czerwone, jakie się regularnie w pewnych odstępach czasu zjawiają na planiecie Mars, są poprostu telegrafem optycznym: Mars jest zamieszkały przez istoty rozumne, świadomością tudzież, wolą obdarzone, słowem, przez istoty do nas, ludzi podobne; ci ludzie z Marsa nabrawszy, zapewne z pomocą wybornych przyrządów astronomicznych pewności, że ziemia jest również zamieszkałą, chcą zwrócić na siebie naszą uwagę, pragną z nami się porozumieć i korespondować w tym przeto celu rozpalają ognie olbrzymie, które się nam wydają plamami.

Takim jest rozumowanie Flammariona, tudzież innych jego zwolenników, czy naśladowców; nauka ścisła, natomiast, zapatruje się na owo zagadnienie nieco odmienniej.

Kwestja, czy planety, oraz inne ciała niebieskie są zamieszkiwane, zajmowała już ludzi starożytnych

Anaximander, uczeń głośnego Thalesa z Miletu, jeszcze na 600 lat przed Ch... a potem Pythagoras byli zdania, że gwiazdy są zamieszkiwane przez stworzenia żywe.

To samo przekonanie żywili nagłośniejsi astronomowie nowszych czasów: kardynał de Casa, Giordano Bruno, Kepler, Tycho de Brahe. Najdobitniej za owym podglądem oświadczył się uczony holenderski Krzyszt. Huyghens, który temu przedmiotowi poświęcił osobne dzieło. Oparł się na zasadzie, że z uwagi, jako ziemia nasza jest pod wielu względami podobną do planet (co już w naszem stuleciu potwierdziła analiza spektralna, co do pierwiastków zasadniczych, składających ziemię i planety), nic nie przeszkadza, by z uwzględnieniem stosunków podręcznych, oraz pobocznych różnic na planetach również nie było życia organicznego.

To samo zdanie wypowiedział głośny filozof niemiecki, matematyk i astronom Kant,

który wręcz oświadczył, iż byłoby to wielce nierozsądnem przypuszczać, że tylko ziemia, a nie również inne planety są zamieszkiwane. Niepotrzebnie tylko Kant swe wywody astronomiczne zaopatrzył metafizycznemi przypuszczeniami, że dusza mieszkańca ziemi po śmierci ciała wędruje na inne, doskonalsze planety i tam wchodzi w powłokę materjalną, bardziej doskonałą i wyżej stojącą, niż ciało ziemskie.

Nawet wyborni astronomowie z pierwszej połowy tego wieku ustawicznie zajmują się pytaniem, czy inne ciała niebieskie są zamieszkiwane na podobieństwo ziemi.

Astronom Gelpke, żyjący w Brunszwiku, wypowiedział 1832 r. w swej „Astronomji popularnej" zdanie, że byłoby to szczytem nierozsądku przypuszczać, iż księżyc i planety są niezamieszkałe, skoro na ziemi każda kropla wody, każdy liść, każda część nawet ciała ludzkiego, kryje w sobie miljon istot żyjących. To samo przekonanie żywi Littrow.

Wszyscy, atoli, uczeni, studjujący ową kwestję, zgadzają się na jedno: organizacja stworzeń, żyjących na planetach, musi być przystosowaną do warunków, które tam istnieją. A więc ponieważ Mars, po części zaś i Wenus pod względem swego składu, wieku itd. najbardziej przypominają ziemię, przeto istniejące tam stworzenie żywe, w ogóle całe życie organiczne może pojawiać się w formach, zbliżonych do ziemskich.

Najrozsądniejsze przecież i najbardziej z prawdą naukową zgodne zdanie w sprawie zamieszkiwania planet przez istoty żyjące wypowiedział astronom angielski Proctor w dziele „Nasze stanowisko w wszechświecie".

Dowodzi on, przedewszystkiem, iż okres, przez przeciąg którego ziemia może być zamieszkałą, jest stosunkowo bardzo krótki w porównaniu z istnieniem ziemi w ogóle. Tysiące milionów przeszło, zanim ziemia ze stanu lotnego przeszła w stan obecny, tysiące też milionów lat ziemia będzie trwała, choć już wygaśnie na niej wszelkie życie organiczne. Życie tworzy jedynie krótki epizod z całego bytu ziemi.

Tak samo przedstawiać się musi owa sprawa i w pozostałych częściach naszego systemu słonecznego.

Każda planeta, każdy księżyc, każde słońce i w ogóle, każde ciało niebieskie, znajdujące się w przestrzeni, musiało mieć, ma, lub będzie miało swój okres zamieszkalności. W samej rzeczy przeto o każdym czasie wśród miljonów i miljonów słońc musi się bardzo dużo znajdować takich, na setallitach, których mieszkają istoty żyjące. A ponieważ liczba gwiazd jest nieskończenie wielka, przeto każdej chwili miljony gwiazd są zamieszkałe, podczas, gdy przeciwnie istnieje nie dająca się ogarnąć myślą ilość gwiazd, albo nie zamieszkałych, albo takich, które już były zamieszkałemi. Jeżeli więc na ten, lub ów system słoneczny będziemy się zapatrywali, jako na całość, wówczas łatwo pojąć, iż w owym systemie zawsze tylko część, to jest, albo jedna planeta, albo druga, dźwiga na sobie istoty żyjące, podczas, gdy inne ich nie posiadają. Porządek zaś, w jakim okres życia w owym systemie następujący: nasamprzód ów okres życia występuje na najmniejszych częściach systemu słonecznego i trwa najkrócej, potem na większych, gdzie trwa dłużej, potem na coraz większych i większych, gdzie trwa coraz dłużej, aż, wreszcie, zjawia się na samym punkcie środkowym systemu, to jest na słońcu, gdzie trwa najdłużej, choć i tam, wreszcie, zniknąć musi.

Stałoby się to więc drogą jedynie przypadkową, w czasie obecnym, który jest okresem życia dla naszej ziemi, owo życie istniało równocześnie i na innej planecie. Daleko większe, natomiast, panuje prawdopodobieństwo, że w naszym systemie słonecznym żadna inna planeta, oprócz naszej, nie znajduje się w okresie życia, oraz zamieszkalności.

Z drugiej strony pewne dane przemawiają za tem, iż pod względem składu, tudzież rozwoju pewne planety są bardziej podobne do ziemi, a więc mogą mieć i życie organiczne, inne zaś, tak się różnią warunkami rozwoju od ziemi, że wszystkie dane przemawiają za brakiem na nich życia organicznego.

Do pierwszych należą Wenus i Mars, gdzie mogą istnieć pewne formy życia: do drugich Jowisz, oraz Saturn, które — według otrzymanych dotąd wskazówek — pozostają jeszcze w stanie płynnym i rozpalonym, co się równa wiekowi młodości u planety, w przeciwstawieniu do naszego księżyca, będącego uosobieniem starości ciał niebieskich.

Warto też wspomnieć tutaj o przepowiedni naukowej uczonego niemieckiego Dubois-Reymonda, który twierdzi, że życie organiczne będzie ustawało skutkiem zwiększającego się stopniowo zimna na ziemi. Ostatni człowiek, kiedy wyzione ducha, zmarznąwszy na wskróś w chacie lodowej, jakie teraz budują pod biegunami, wystawionej na samym równiku.

I wówczas — zawsze według Dobois-Reymonda — z ostatniem tchnieniem ostatniego człowieka w nicość się obrócą wszelkie wysiłki rodu ludzkiego, wszystkie nasze zabiegi cywilizacyjne, wynalazki, wiedza, umiejętności, a ziemia będzie przedstawiała taką samą pustkę straszliwą, jak obecnie księżyc.

Flammarion tedy, oraz jego zwolennicy nie przekonają nikogo, że na Marsie, a być może i na Wenerze znajdują się istoty żywe, do ludzi podobne, tak długo dopóki nie dowiodą, że na obu owych ciałach niebieskich panują takie same warunki rozwoju, oraz takimi samymi stopniami kroczył rozwój życia organicznego, jak na ziemi. Tego zaś dowieść chyba nikt nie zdoła, nietylko Flammarion, ale nawet najbystrzejszy i najgenialniejszy z astronomów. Trzeba, bowiem, pamiętać i o tem jeszcze, że każde ciało niebieskie inne, oraz inaczej przebywa epoki geoligiczne, od twardnienia zaś skorupy zewnętrznej każdego ciała niebieskiego, tudzież od stopnia gorąca jego płynnego wnętrza, zależy swój rozwój życia organicznego. W ciałach niebieskich mniejszych owo twardnienie, pochodzące ze stopniowego ziębnięcia odbywa się szybciej, skutkiem czego i rozwój życia organicznego, odbywające się prędzej, nie może dosięgnąć takiego stopnia doskonałości, jak u nas na ziemi; przeciwnie znowu w ciałach niebieskich większych, oziębianie całej masy postępuje zwolna, twardnienie skorupy także powolniejsze przybiera tempo, a więc różniczkuje się i wytwarza tysiące następsw daleko doskonalszych, oraz u nas na ziemi zupełnie nieznanych.

Kto wie kiedy, czy w zasadzie nie jest słusznym naiwny pogląd ludzi wieku ośmnastego, którzy utrzymywali, że istoty żyjące, zamieszkujące gwiazdy, tem są doskonalsze, im dane ciało niebieskie jest większe,

Streszczając, słowem, wszystkie wywody powyższe, musimy przyjść do przekonania, że prawdopodobnie obecnie na żadnej planecie systemu słonecznego, z wyjątkiem naszej ziemi, nie mieszkają istoty podobne do ludzi. Nic to, atoli, nie przeszkadza, by gdziekolwiek w przestworzach niebieskich, w innym systemie słonecznym, na jednej z planet do tegoż systemu należącej, gdzie się dokładnie powtórzyły stosunki naszej ziemi, wytworzył się także ród istot żyjących, ziemian przypominających. Trzeba również przyjąć za zasadę, że i na planetach naszego systemu słonecznego w przebiegu czasu pojawi się zapewne życie organiczne, oraz istoty zwane ludźmi, oczywista, przystosowane do warunków rozwoju samej planety.

Wszystko to zaś odbywa się za sprawą i ku większej chwale Tego, bez którego woli, ani biednej ptaszynie stać się krzywda, ani człowiekowi włos z głowy spaść nie może.

I gdy w nocy patrzymy na firmament miljonami miljonów gwiazd zasiany; gdy schyleni nad atlasem astronomicznym podziwiamy ład, porządek, niesłychanie wzorową organizację, w jakiej ustawiono i z jaką się poruszają owe ciała niebieskie; gdy wyobrazimy sobie — oczywista, nieudolnie — ogrom wszechprzestworzy, z których oko nasze zaledwie małą cząsteczkę może uchwycić, wówczas ogarnia nas podziw, tudzież cześć, pełna pokornych hołdów dla Stwórcy Wszechmocnego.

Nie naprożno astronomowie należą do najpobożniejszych ludzi na ziemi, gdyż nic tak nie zbliża do nieba i Boga, jak gwiaździarstwo. Jakże małym jest człowiek najpotężniejszy w obec tajemnic, któremu odsłania astronomja!

A. Wit.

Teatr — koncerta — widowiska.

Jubileusz artysty. Obchodził go w tych dniach artysta sceny lwewskiej: p. Władysław Woleński, który na naszej scenie pracuje lat 25, a łącznie z temi latami podczas których gdzieindziej pracował np. w Krakowie, posiada p. Woleński 28 lat zawodowej pracy. Podczas jednego przedstawienia *Madame Sans Gêne*, zgotowano jubilatowi serdeczną owację na scenie. Przemawiał w imieniu artystów p. Walewski, któremu ze wzruszeniem odpowiedział jubilat. Dwa wspaniałe wieńce: jeden od dyrekcji, drugi od koła lit. art. ofiarowano p. Woleńskiemu. Publiczność licznie zebrana grzmiącymi oklaskami solidaryzowała się z owacją na scenie.

Pan Władysław Woleński, artysta prawdziwego talentu, posiadający śliczny organ mowy i temperament niezwykły, zawsze odznaczał się pracą sumienną, a w odtwarzaniu postaci widocznem było wykształcenie, zmysł estetyczny i głębsze wniknięcie w role. Znajdując się w sile męzkiego wieku, p. Woleński na długo jeszcze pozostanie pryncypalną siłą i ozdobą sceny polskiej.

Przedstawienie w teatrze lwowskim na dochód kolonij wakacyjnych w Rymanowie, które się w tym czasie odbyło w teatrze lwowskim, przyniosło nam dwie oryginalne „jednoaktówki", wyrażające się żargonem teatralnym, tak nazwane „premiery", jak się to bardzo ładnie mówi po polsku. Jedna z nich Asnyka: *Komedja konkursowa*, druga pana Przybylskiego: *Jeden dzień w redakcji* — obydwie, co prawda, nie nowe. bo pierwsza lat kilkanaście, jak napisana, a druga na kilka lat życia i graną była w jakimś warszawskim ogródku. Asnyk w *Komedji konkursowej*, wychłostał porządnie i sprawiedliwie nasze stosunki literackie, oczywiście, galicyjskie, bo w Warszawie, choć nieba niema, ale tak znowu nie jest, jak u nas. Tu w naszem Lwowku, co to „za raj dla karjerowiczów o żadnych talentach, bez nauki — za to o sprycie handlarskim i, nierzadko, z powodzeniem... Złotemi literami trzebaby wypisać to, co Asnyk powiedział w tej swojej *Konkursowej komedji...* Takiej rzeczy darowywa się z chęcią pewne usterki, jako roboty scenicznej, jak np. zbytnią rozwlekłość, a co zatem idzie, pewną powolność akcji — mniejsza o to, skoro autor dał nam prawdziwą satyrę literacką. Przepyszny jest ten literat Hugonowski, którego p. Fiszer odtwarza z uderzającą prawdą życiową. A ten drugi „wielki", możnaby powiedzieć, osioł literacki, którego tak dobrze odegrał p. Ruszkowski, a ten trzeci, Gazetkiewicz, istna pchła dziennikarska, wybornie odegrana przez p. Walewskiego— wszystkie postacie prawdziwe, tryska z nich życie... Całości dopełniali bardzo dobrą grą pani Gostyńska, panna Polkowska i p. Kliszewski.

Jeden dzień w redakcji — to karykatura jakiejś redakcji codziennego pisma, a raczej jej biura. Utalentowany autor, p. Przybylski, tym razem potknął się. Jest to szereg mniej, lub więcej zabawnych epizodzików, z których każdy wzięty osobno, mógłby stanowić jaką scenę w większej farsie. Wszystko zaś razem puszczone na scenę, robi jakiś bigos, żeby to choć odgrzewany, ale surowy, a co najmniej, niedogotowany. Forsowana przesada w sytuacjach, rzuca się w oczy na każdym kroku. Takiej redakcji absolutnie niema nigdzie, bo nie może być. No, a co do tego sakramentalnego „wujaszka" w redakcji — to mógłby autor zdobyć się przecież na jaką świeższą farsową figurę, bo tacy „wujaszkowie" już nawet nie do bigosu. Grano to wszysko żywo, dobrze, a kręciło się na scenie kilkanaście osób.

W międzyaktach śpiewała po raz pierwszy publicznie panna Kozłowska — śpiewała wyjątki z „Traviaty" i z „Purytanów". Głos duży sopranowy, koloraturowy. Ta koloratura, wprawdzie, jeszcze surowa, ale śmiała, wyrazista, jasna i efektowna. Opera z p. Kozłowskiej będzie miała niepospolita śpiewaczkę. Panna Kozłowska, jest uczennicą państwa Souvestre-Paschalis.

O wznowionym na lwowskiej scenie melodramacie: *Szuler i grabarz* czyli *Król żołędny*

przerobionym z niemieckiego przez J. N. Kamińskiego z muzyką Procha, tyle tylko powiedzieć można, że, jako sztuka „niedzielna", szczególniej na popołudniowe przedstawienia, jest stosowna mimo pleśni i zastarzałych wyobrażeń o scenie. Nie wiele w takich melodramatach mają artyści do roboty, ale robota ich w górnych, szczególniej, sfsrach, znajduje uznanie gorące, a ponieważ tendencja takich sztuk, jak *Szuler i grabarz*, jest uczciwa — to i dobrze. W sztuce tej za grę dzielną o prawdziwie artystycznym temperamencie, zbierali sute oklaski pp. Feldman, Woleński. Walewski, Chmielński i pani Skalska.

Występował gościnnie na lwowskiej scenie w *Rigolecie* (tytułowa partja) p. Paszkowski baryton, znany, podobno, na scenach zagranicznych śpiewak. U nas artysta ten nie pozyskał zbytniej sympatji dla swego głosu ciemnej i jakiejś ponurej barwy mimo widocznego obycia ze sceną i dobrej metody śpiewania.

Musimy zauważyć, że „wkładka" w *Rigolecie*, jaką wykonała panna Carnioli (Zapałkiewicz) nie jest bynajmniej inowacją, jak utrzymują niektórzy „specjaliści" — bo wszystkie śpiewaczki robią to samo, a znana i sławna pani *Artôt* we Lwowie, przed laty. równie popisywała się „wkładką" w tej samej partji. Panna Carnioli w *Mignon*, była uroczą... Mignon i ślicznie śpiewała.

Dzielny nasz bas p. Jeromin, otrzymał wieniec w *Fauscie* za świetne wykonanie partji Mefista. Artysta ten, to, rzeczywiście, wcielenie zdrowia wokalnego na scenie...

Dowiadujemy się, że nasze doniesienia powtórzone za pismami warszawskiemi, jakoby państwo Żelazowscy przenosili się na scenę krakowską, niesprawdza się, gdyż pozostają oni nadal w lwowskim teatrze, co naturalnie wyjdzie na dobre scenie naszej, której artystyczna ta para, jest ozdobą.

Gdy numer nasz szedł na prasę, zapowiedziano przedstawienie po raz pierwszy na lwowskiej scenie sztuki Sudermana p. t. *Walka motyli*. Obszerniejszą, więc, ocenę z tego najnowszego utworu niemieckiego dramaturga odłożyć musimy do następnego numeru — tu tylko nadmieniamy, że Sudermau wśród krytyków głębiej patrzących i broniących podstawowych interesów społeczeństwa, nie znajduje uznania tem więcej, że i pod względem estetycznym zarzucają mu pewną brutalność. Wszystko to, jednak, nie przeszkadza, że Suderman, jest wysoko utalentowanym dramatycznym pisarzem. Co do *Walki motyli*, to sztuka ta, pomijając krytykę, w ogóle rzecz biorąc, nie pozyskała zbytniego powodzenia, a nawet na niektórych scenach upadła. W Berlinie, zkąd autor pochodzi. *Walka motyli* nie podobała się szerszej publiczności. w Warszawie, krytyka osądziła ją bardzo ostro, potępiła i sztuka upadła. mimo, że ją dyrekcja tamtejsza od czasu do czasu powtarza jeszcze — najlepsze powodzenie osiągnęła *Walka motyli* w Wiedniu. U nas we Lwowie, można być pewnym. że *Walka motyli* nie pozyska sympatji — niedlatego, aby tu chodziło o jakieś zasadnicze, estetyczne. lub społeczne względy, ale, poprostu dlatego, że lwowska „szanowna" publiczność rzeczy poważniejszych nie lubi, bo myśleć nie umie, nie chce, lub nie może. a w *Walce motyli* aktorzy w poplamionych prześcieradłach po scenie nie biegają, poduszkami się nie biją, kupletów nie śpiewają, a w to. właśnie, przedewszystkiem, lwowskiej „szanownej" publiczności — graj!...

Praktyczne wiadomości

Hodowla róż w księstwie Luksemburskiem stanowi jedną z ważniejszych gałęzi łochodu, gdyż klimat miejscowy wyjątkowo sprzyja rozwojowi najrozmaitszych gatunków i odmian tego kwiatu. Obecnie w księstwie istnieją trzy na wielką skalę prowadzone zakłady i mnóstwo drobniejszych, poświęconych specjalnie hodowli róż i dających zajęcie z górą trzystu robotnikom. W okolicach miasta Luksemburga kultura róż prowadzi się na przestrzeni 90 morgów. Niektóre gatunki róż są hodowane w oranżerjach. Popyt na róże luksemburskie jest znaczny i ogrodnicy osiągają ztąd znaczne dochody.

Drzewo dające mleko. Wkrótce nie będziemy potrzebowali wcale krów. Zamiast nich, należy w ogrodach sadzić brasicum galactodendron, drzewo pochodzące z Wenezueli i gór w południowej Ameryce. Drzewo to, dosięga 15—30 metrów wysokości. W nowym świecie istnieje pięć gatunków drzew, dostarczających soku podobnego do mleka, bardzo przyjemnego w smaku, w obfitości niemniejszej, niż otrzymujemy od krowy. Ze wszystkich gatunków drzewo wymienione powyżej jest najmleczniejsze. Mleko otrzymuje się przez nacięcie kory; smakiem przypomina ocukrzoną śmietankę i jest bardzo pożywne. Skład mleka roślinnego zbliża się bardzo do mleka krowiego, lecz ilość substancij jest w niem dwa razy większa, niż w mleku krowiem. Jest więc podobniejsze do śmietanki, niż zwyczajnego mleka. W kraju, w którym te drzewa rosną, krajowcy co rano przybywają do nich zaopatrywać się w mleko.

Różne sprawy.

W Galicji wychodzą następujące pisma na prowincji: „Kurjer Przemyski" z „Kropidłem", to ostatnie humorystyczne, „Gazeta Samborska„ Głos Podolski" w Tarnopolu, „Pogoń" w Tarnowie, „Kurjer Jarosławski", „Szkolnictwo ludowe" w Nowym Sączu, „Kurjer Rzeszowski", „Dwutygodnik organistowski" w Jarosławiu, „Kurjer Stanisławowski", „Gazeta Kołomyjska". Nadto: „Gazeta Polska" w Czerniowcach na Bukowinie, „Gwiazdka Cieszyńska" na Szląsku, „Dzwonek" w Cieszynie, oraz tamże: „Wieniec i Pszczółka".

We Lwowie nakładem księgarni Jakubowskiego i Zadurowicza wyszły *Szkice* Jana Kazimierza Zielińskiego. Jest to spora książka w pięknem i starannem wydaniu obejmująca sześć belletrystycznych utworów, mianowicie: „Anima", W Japonji", „Eden". „Na konkurs", „Tenor" i „Numer 13-ty". Autor *Szkiców* znany w belletrychycznej naszej literaturze i publicystyce, odznacza się niezaprzeczonym talentem literackim, czego, zresztą, nie od dziś daje dowody — znamionują go zmysł spostrzegawczy, humor, ładny styl i rozumna, a szlachetna tendencja. *Szkice* p. Zielińskiego czytają się przyjemnie i z zajęciem, a w bieżącej naszej literaturze belletrystycznej, z pewnością zajmą poczesne miejsce.

Zakład narodowy im. Ossolińskich we Lwowie ogłosił *Sprawozdanie z czynności za r. 1894*. Ze sprawozdania tego dowiadujemy się, że Muzeum Zakładu w ciągu roku zwiedziło osób 4281, a 251 osób robiło w niem poważniejsze studja. Rzeczy muzealnych było 2284, obrazów 879, rycin 25638, zbrojowni 670, monet 17513, medali 3753, pamiątkowych banknotów polskich 75, rozmaitości przyrodniczych z epoki przedhistorycznej 50. Inwentarz druków jest następujący: unikatów 93350, dubletów 9013, atlasów i map 1892, rękopisów 3601, autografów 2851, dyplomatów 1174, podobizn 79, muzykaljów 239. — Przy sprawozdaniu wydrukowany jest odczyt p. Dra Wilhelma Bruchnalskiego p. t. „Pierwsze utwory Mickiewicza naśladowane w literaturze *galicyjskiej* (1822 -1830).

(Co to za „galicyjska" literatura?... *(Przyp. Red).*

KARTKI

Sprawozdawczo - informacyjne

z Wystawy powszechnej we Lwowie.

Różnej wielkości i różnych systemów zamknięcia kasy ogniotrwałe. nadesłał *Ludwik Szklarski* właściciel fabryki dla wyrobu kas i wag pomiarowych, których to ostatnich okazy mieliśmy sposobność również oglądać. Co do wyrobu kas, to nadmienić musimy. że podczas wystawy w Krakowie, poddawano kasy wyrobu p. Szklarskiego próbom ogniowym, z których one wyszły zwycięzko bez najmniejszego uszkodzenia ich zawartości w złocie, srebrze i papierach. Jest to wybitnym dowodem ich ogniotrwałości i gwarancją dla odbiorców. którzy je obdarzają uznaniem, słusznie im należnem.

Pomiedzy wielkim zbiorem maszyn rolniczych umieszczonych około pawilonu rolnictwa. wyszczególniały się wyroby rzeszowskiej firmy *Edwarda Fröhlicha*. Wyroby te zdaniem gospodarzy, a tem samem znawców, są bardzo praktyczne i dobre. Fabryka założona w r. 1877 zatrudnia przeszło 20 ludzi i została w latach 1883 i 1885 nagrodzoną na wystawach rolniczych i przemysłowych medalami srebrnymi i bronzowymi.

W samym środku jednego ze skrzydeł pawilonu przemysłowego, wznosiła się ogromna piramida, ułożona z wyrobów fabryki papieru maszynowego „*Braci Fijałkowskich*" z Bielska. Na piramidzie stoi kolumna ułożona z rolek czarnego i żółtego papieru, a na niej biust cesarza. Kolumna ta sięga prawie aż do stropu pawilonu. Widzimy tam różnej wielkości, jakości i zabarwienia papiery, a między nimi pięć olbrzymich rol papieru drukowego w jednym kawałku, każda o długości 11.000 metrów. Papieru takiego używa się do drukowania gazet angielskich i francuskich, odbijanych w tysiącach egzemplarzy. Fabryka papieru Fjałkowskich istnieje od r. 1868 i oprócz motorów parowych zatrudnia przeszło 200 robotników, a wyroby swoje wyséła po największej części na wschód i do Anglji. Dotychczas została fabryka odznaczona na wystawach we Filadelfji r. 1876, w Paryżu 1878, w Melburnie 1878. we Wiedniu 1873. we Lwowie 1877, w Krakowie 1887 i w Cieszynie 1880, za swoje doskonałe wyroby i teraz we Lwowie

Druga duża fabryka papieru *Dra Henryka Kolischera* (firma Braci Kolischer) w Czerlanach, wystawiła swoje okazy tuż obok poprzedzającej. Znajdujemy tam materjały surowe używane do wyrobu papieru; materjały pośrednie, jak masy i półmasy papiernicze w różnych stadjach przeróbki: dalej, w probetkach szklannych szmatki lniane i konopne: liczny zbiór próbek papieru we wielu odmianach, zwoje papierowe, okazy różnych gatunków konfekcji papierowej, papiery listowe w opakowaniach, zeszyty szkolne sporządzane według normaljów Rady szkolnej (w gablotce), księgi kupieckie i kasowe, a wreszcie plany fabryki i rysunki maszyn fabrycznych. Wyroby fabryki czerlańskiej są ogromnie rozpowszechnione i powszechnie używane jako znane ze swojej dobroci. Fabryka należy do największych zakładów przemysłowych tego rodzaju w Galicji i cały kraj prawie zaopatruje w wyroby papiernicze, oprócz wielkiej ilości exportu po za granice kraju. Założoną ona została w r. 1879 — utrzymuje w ruchu dwa motory parowe i wielką liczbę specjalnych maszyn pomocniczych.

Porozrzucane po różnych pawilonach i na różnych punktach wystawy znajdują się okazy nadesłane przez p. *Artura Zarembę Cieleckiego* właściciela dóbr Hadynkowce-Porchowa pod Potokiem złotym położonych. Ponieważ okazów tych jest wiele i reprezentują one doskonale prowadzone i kwitnące gospodarstwo wiejskie w różnych jego gałęziach, dla tego też zbieramy je w jedną całość, która nam się następująco będzie przedstawiać. Uprawą roli reprezentują liczne, a niezwykłe ładne próbki zboża, jak pszenica, żyto, owies, jęczmien itp. pochodzące z folwarków Arturówka, Hadynkowce, Oryszkowice i Porchowa. Przy nich olbrzymie okazy buraków w tychże folwarkach wyprodukowanych. W działach leśnictwa i łowiectwa, znajdujemy olbrzymie łby wypchanych dzików, danieli i kozłów; plany rewirów, mapy lasów, tabele i liczny zbiór pni, pochodzących z lasów Hadynkowieckich. Dalej, ładne próbki alabastru porchowieckiego, zbiór map przedstawiających pokłady geologiczne tej ziemi i przekroje tych pokładów, dają nam obraz wydajności kamieniołomów porchowieckich i rozwój przemysłu kopalnianego — w końcu zupełny strój dla parobka i dziewczyny w powiecie buczackim, przedstawia nam obraz strojów włościańskich i próbki robót w zakres przemysłu domowego wchodzących.

Liczne te, a ładne okazy z dziedziny rolnictwa, leśnictwa, łowiectwa, górnictwa i przemysłu domowego, nadesłane przez właściciela dóbr porchowieckich, dają nam pojęcie o dodatniej działalności tego obywatela, jako gospodarza wiejskiego i o rozumnie prowadzonej, dobrze uorganizowanej gospodarce w wymienionych folwarkach. Okazy powyższe mogłyby niezaprzeczenie wypełnić osobny pawilon, któryby pod względem bogactwa swej zawartości i piękności okazów nie ustąpił wielu innym jakie na placu wystawy widzimy.

P. Maurycy Langrok właściciel fabryki albuminu w Krakowie nadesłał ładne okazy przetworów albuminowych własnej produkcji. Znajdują się one w pawilonie przemysłowym. Są tam: albunim wyrabiany z białka jaj i z krwi, a na uwagę zasługuje żółtko jaj konserwowane w stanie płynnym, do garbowania skóry i do celów leczniczych. Fabryka istnieje od lat 31 (zał. 1863), a gwarancją dobroci jej wyrobów jest liczba odznaczeń na różnych wystawach krajowych i światowych, a mianowicie nagrodzoną ona została; w Berlinie r.

1877, w Ajaccio r. 1881, we Frankfurcie i w Paryżu r. 1889 i w Bordeaux r. 1892. Fabryka posiada własną filję w Husiatynie.

Fabrykację szkła w Galicji, reprezentują znajdujące się w pawilonie przemysłowym grupy wyrobów szklanych dwóch największych fabryk galicyjskich. Pierwsza huta szkła tarnopolskiej firmy „*Kupfer i Glaser*". Wystawiła ona obok produktów surowych do fabrykacji szkła używanych, produktów w połowie, lub zupełnie przerobionych, także liczny zbiór zwierciadeł i szyb; szkło taflowe różnej jakości i rozmiarów, szkła solinowe, dachowe, kolorowe, matowe i w różne desenie wyrabiane. Wyroby tej fabryki są bardzo dobre, zwłaszcza znane są wykonywane przez tę firmę całkowite oszklenia nowych budowli. Ruch fabryki odbywa się zapomocą pieców gazowych najnowszego systemu, specjalnie dla fabrykacji szkła konstruowanych i sporządzanych.

Ogromnych rozmiarów okazy szkła dętego wystawiła *Huta szkła ze Żółkwi*. Są tam duże banie i kufy szklane, a obok nich tafle gładkie i matowe różnej grubości i jakości. Widzimy tam również ładne okazy tafel w desenie i napisy matowane. Huta w Żółkwi założoną została w r. 1890. a dzisiaj zatrudnia już ona przeszło 50 ludzi i wielką część kraju zaopatruje w swoje wyroby. Nagrodzoną ona została w r. 1892 na wystawie przemysłowo budowlanej we Lwowie.

Wystawione przez firmę Franciszka Woronieckiego z Przemyśla 3 fortepiany i pianino zwykłe, można nazwać wprost dosonałemi a o fabrykacie skombinowanym (pianino-harmonium) wynalazku wystawcy powiedzieć, że jest on absolutną nowością w technice budowy instrumentów muzycznych. Wyrób ten nadaje się, naszem zdaniem, szczególnie dla szkół śpiewu, lub konserwatorjów, gdyż mechanizm jego pozwala go użyć i, jako organy i, jako pianino zwykłe. Zrobione ono jest z drzewa czarnego z bogatą ornamentacją rzeźbioną. Fabryka Woronieckiego — to jeden ze starszych i większych zakładów fabrycznych. Istnieje ona od r. 1877 i zatrudnia kilkunastu ludzi, a posiada swój stały wywóz do Czech, Szląska, Niemiec, Rosji i na Morawę. Dotychczas została ona nagrodzoną sześcioma (6) medalami złotymi z wystaw zagranicznych, zaś 1-szym złotym, 2-ma srebrnymi i 3-ma bronzowymi medalami na wystawach krajowych różnych lat i miejscowości. W liczbie odznak posiada fabryka również 12 (dwanaście) dyplomów, odznaczeń i listów pochwalnych.

W mniejszym budynku maszynowym, przylegającym o ścianę do pawilonu wystawców węgierskich, wystawiony był model stojącej, nieruchomej maszynki parowej pomysłu i wykonania *W. Mitschkego* maszynisty kolejowego. Model ten składa się z trzech części, a mianowicie: kotła, właściwej maszyny (motoru) i pompki parowej zasilającej kocioł wodą. Cały model wykonano z materjału, jakiego używa się do budowy maszyn, a więc kocioł z grubej blachy żelaznej, a motor i pompkę ze żelaza i stali z dodatkiem mosiądzu i miedzi na miejscach właściwych. Wszystkie części składowe modelu wykonane bardzo misternie i tak dokładnie, że model, jako motorek mógłby być użytym.

Ładny zbiór kapeluszy z fabryki *Florjana Seidlera* ze Lwowa, widzieliśmy w pawilonie przemysłowym. Fabryka ta kapeluszy męskich i damskich wystawiła przedmioty okazowe z różnego, co do jakości, materjału i wszelką rozmaitość pod względem kolorów i fasonów swoich wyrobów. Fabryka Seidlera znaną jest we Lwowie ze swej sumienności i wykonywania przyjmowanych zamówień, oraz z dobroci wyrabianego w niej towaru. To też kapelusze firmy Seidlera cieszą się wcale znacznym odbytem.

Na zeszłorocznej wystawie krajowej we Lwowie, w szeregu okazów różnych szkół krajowych rolniczych, wybitne miejsce zajmowała *Szkoła w Horodence*. Szkoła ta wystawiła następujące przedmioty: okazy gruntów czarnoziemi, piaskowego, gliniastego, torfowego: nawozy sztuczne, próbki zboża, siana i słomy, modele i obrazy roślin i bydła, anatomiczne preparaty szkieletów, modele klatek dla bydła, modele narzędzi, podkowy i modele kopyta, okazy minerałów i ryb, fotografie budynków i prace uczni. Szkoła rolnicza w Horodence, której dyrektorem jest p. Bastgen, niezawodnie najlepiej przedstawiła się na wystawie lwowskiej krajowej — musimy też na tem miejscu wyrazić mu szczere słowa uznania za to, że mimo nieurodzajów kilku lat ostatnich, zdołał zebrać tak poważną ilość pięknych, a godnych widzenia okazów.

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

Pani Lipczyńska w Grand Rapids Mich. Prosimy o odesłanie tak dawno zaległej prenumeraty, która już wynosi 8 dollarów. Czy mamy się upominać o swoją należytość aż przez amerykańskie dzienniki?

Demon. Nadesłane utwory zużytkujemy. Pisma nasze podług wskazanego adresu posełać będziemy.

Abonent. Wiersz pański p. t. „Śmierć skąpca" nie będzie drukowany.

Warszawiak. Pan Aleksander Jałoszyński objął teraz restaurację hotelu saskiego w Krakowie. W Warszawie, równie, jak i w Szczawnicy zażywał on doskonałej reputacji, jako pierwszorzędny i sumienny kuchmistrz.

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni Ludwika Arbaszewskiego we Lwowie, ul. Słowackiego l. 4.